

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

SAM

Przesłuchiwali mnie w kuchni.

Posterunek policji w Mercy Falls był mały i najwyraźniej nieprzystosowany do prowadzenia śledztwa. Koenig przeszedł ze mną obok pokoju depozytorów – przerwali rozmowę w pół zdania, żeby na mnie popatrzeć – oraz dwóch salek, w których policjanci siedzieli przy komputerach, aż dotarliśmy do małego pomieszczenia ze zlewem, lodówką i dwoma automatami z napojami i przekąskami. Była pora lunchu i w środku śmierdziało podgrzewanym meksykańskim jedzeniem i wymiocinami. Było strasznie gorąco.

Koenig wskazał mi lekkie drewniane krzesło. Zebrał ze stołu kilka serwetek, talerz z niedojedzonym cytrynowym batonikiem oraz puszkę po napoju, wrzucił to wszystko do śmietnika i stanął przed wejściem do kuchni, plecami do mnie. Widziałem tylko tył jego głowy, z włosami na karku przyciętymi z niesamowitą precyzją, jak od linijki. Na ich krawędzi widniała blizna od poparzenia, która zniknęła pod kołnierzykiem koszuli. Przyszło mi do głowy, że za tą blizną kryje się jakaś historia – może nie tak dramatyczna jak historia blizn na moich nadgarstkach, ale jakaś na pewno. Świadomość, że wewnętrzne i zewnętrzne blizny kryją jakąś opowieść o nim, nagle mnie wyczerpała. Jakby przytłoczył mnie ciężar tych nieopowiedzianych przeszłości.

Koenig mówił cichym głosem do kogoś w korytarzu. Wyłapywałem tylko urywki konwersacji.

– Samuel Roth... nie... nakaz... ciało? ... co znajdzie.

Natychmiast poczułem mdłości i uderzenie gorąca. Żołądek przewrócił mi się do góry nogami i nagle odniosłem wrażenie, że pomimo ciepła, a raczej z powodu ciepła przemienię się tutaj, w tym małym pomieszczeniu, i nie będzie już ucieczki.

Oparłem głowę na ramionach. Stół śmierdział starym jedzeniem, ale zimny blat chłodził moja skórę. Żołądek mi się skręcał i szarpał i po raz pierwszy od miesiąca poczułem się niepewnie we własnym ciele.

„Proszę, nie przemieniaj się. Proszę, nie...”.

Powtarzałem to w myślach przy każdym oddechu.

– Samuel Roth?

Podniosłem głowę. W drzwiach stał policjant o podpuchniętych oczach. Śmierdział tytoniem. Miałem wrażenie, że wszystko w tym pokoju zostało zaprojektowane jako swojego rodzaju atak na moje wilcze zmysły.

– Nazywam się funkcjonariusz Heifort. Nie masz nic przeciwko temu, żeby funkcjonariusz Koenig był obecny podczas naszej rozmowy?

Nie ufałem brzmieniu swojego głosu, więc tylko pokręciłem głową, wciąż dociskając ramiona do blatu. Czułem dziwną pustkę w piersi.

Heifort odsunął krzesło naprzeciwko mnie – dość daleko, żeby zrobić miejsce dla swojego brzucha – usiadł i położył na stole notes oraz teczkę. Koenig pojawił się w drzwiach za nim i stanął z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Budził respekt, oficjalny i postawny, ale jego znajoma obecność i tak miała na mnie uspokajający wpływ. Brzuchacz wyglądał na zbyt zadowolonego z perspektywy przesłuchiwania mnie.

– Zadamy ci kilka pytań, a ty odpowiesz na nie najlepiej, jak potrafisz, w porządku? – W jego głosie pobrzmiwała jowialność, która nie znajdowała odbicia w oczach.

Skinąłem głową.

– Gdzie podziewa się ostatnio twój ojciec, Sam? Nie widzieliśmy Geoffreya Becka od bardzo dawna – zaczął Heifort.

- Zachorował – wyjaśniłem. Łatwiej było używać kłamstwa, którym już się wcześniej posługiwałem.
- Przykro mi to słyszeć – powiedział Heifort. – Co mu dolega?
- Rak. – Wlepiłem wzrok w stół i wymamrotałem: - Leczy się w klinice w Minneapolis.

Brzuchacz to zanotował. Wolałbym, żeby tego nie robił.

- Znasz adres tej kliniki? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami. Staralem się nasycić ten gest smutkiem.

- Później mogę to ustalić – zaferował się Koenig.

Heifort to też zapisał.

- W jakiej sprawie jestem przesłuchiwany? – zażądałem wyjaśnień.

Podejrzywałem, że w rzeczywistości nie chodziło o Becka, tylko o Grace, i jakaś część mnie nie mogła się pogodzić z myślą, że być może zostanę aresztowany w związku ze zniknięciem kogoś, kogo trzymałem w ramionach minionej nocy.

- Cóż, skoro pytasz – przeszedł do konkretów Heifort i wysunął teczkę spod notatnika. Wyjął z niej zdjęcie i położył je przede mną.

To było zbliżenie stopy. Dziewczęcej stopy, wąskiej i długiej. Stopa i widoczny na zdjęciu kawałek nagej nogi leżały pośród liści. Między palcami widać było krew.

Wstrzymałem oddech.

Brzuchacz położył kolejną fotografię na poprzedniej.

Skrzywiłem się o odwróciłem wzrok z ulgą, ale przede wszystkim przerażeniem.

- Czy to ci coś mówi?

To było zdjęcie nagej dziewczyny, bladej jak śnieg, szczupłej jak szept, leżącej pośród liści. Twarz i szyję miała zmasakrowaną. I znałem ją. Ostatnim razem, gdy widziałem tę dziewczynę, miała opalenizną i uśmiech, i puls. „Och, Olivia. Tak mi przykro”.

- Dlaczego mi to pokazujecie? – zapytałem. Nie mogłem patrzeć na to zdjęcie. Olivia nie zasłużyła na to, żeby zabiły ją wilki. Nikt nie zasługiwał na taką śmierć.
- Mieliliśmy nadzieję, że ty nam to powiesz – zasugerował Heifort, wykładając na blacie przede mną kolejne fotografie przedstawiające różne ujęcia martwej dziewczyny. Chciałem, żeby przestał. Musiał przestać. – W takim stanie została znaleziona kilka metrów od granicy posiadłości Geoffreya Becka. Naga. Po tym jak zniknęła kilka miesięcy wcześniej.

Nagie ramię umazane krwią. Skóra pobrudzona ziemią. Wnętrze dłoni skierowane ku niebu. Zamknąłem oczy, ale wciąż widziałem te obrazy pod powiekami. Czuję, jak zakorzeniają się we mnie, zaczynają we mnie żyć, by potem nawiedzać mnie we śnie jako koszmary.

- Ja nikogo nie zabiłem – powiedziałem. Zabrzmiało to fałszywie. Jakbym mówił w obcym języku i tak pomieszał odmianę wyrazów, że złożone do kupy zdanie nie miało żadnego sensu.
- Och, to była robota wilków – zgodził się brzuchacz. – To one ją zabiły. Ale nie sądzę, żeby to przez nie znalazła się nago w lesie.

Otworzyłem oczy, ale nie patrzyłem na zdjęcia. Na ścianie wisiła tablica korkowa z przyklepioną karteczką, z prośbą, żeby pracownicy czyścili po sobie mikrofalówkę, jeśli eksploduje w niej czyjś lunch.

- Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. Nie wiedziałem, gdzie ona przebywa. To nie ja.
- Ale ciążyła mi świadomość, że jednak wiedziałem, kto jest sprawcą. – Dlaczego miałbym zrobić coś takiego? – dodałem.
- Szczerze mówiąc, synu, nie mam zielonego pojęcia – przyznał Heifort. Nie byłem pewien, dlaczego nazwał mnie „synem”, skoro ton reszty wypowiedzi przeczył takim serdecznościom.
- Zrobił to jakiś chory skurwysyn i trudni mi wczuć się jego tok myślenia. Ale wiem jedno: dwie

młode dziewczyny, które cie znały, zniknęły w minionym roku. Byłeś ostatnią osobą, która widziała jedną z nich. Twój przybrany ojciec nie daje znaku życia od miesięcy i najwyraźniej tylko ty jeden wiesz, gdzie przebywa. Niedaleko twojego domu znajdujemy ciało nagiej i niemal zagłodzonej dziewczyny. I myślę sobie, że za coś takiego może być odpowiedzialny tylko ostro popapwany skurwiel. A właśnie przede mną siedzi koleś, nad którym znęcali się rodzice. I podobno nieźle przeorali mu psychikę. Chciałbyś to jakoś skomentować?

Wszystko to powiedział powoli i spokojnie. Koenig przyglądał się grafice przedstawiającej statek, którego zapewne nigdy nie widziano w pobliżu Minnesoty.

Kiedy Heifort zaczął mówić, poczułem gniew, który narastał z każdym jego słowem. Po tym wszystkim, co przeszedłem, nie miałem zamiaru dać się sprowadzić do jednozdaniowej definicji. Podniosłem wzrok na Heiforta i utkwilem w nim spojrzenie. Zobaczyłem napięcie w jego oczach. Kolor moich tęczywek zawsze wprowadzał ludzi w zakłopotanie. Nagle poczułem całkowity spokój i gdzieś we własnym głosie usłyszałem echo głosu Becka.

- Czy to jest pytanie, funkcjonariuszu Heifort? Sądziłem, że chce się pan dowiedzieć, jakie mam alibi, albo usłyszeć, jakie są relacje pomiędzy mną a moim ojcem, albo usłyszeć, że zrobiłbym wszystko dla Grace. Ale wygląda na to, że najwyraźniej chce pan tylko, żebym bronił swojego zdrowia psychicznego. Nie potrafię stwierdzić, o co mnie pan podejrzewa. Oskarża mnie pan o porwanie dziewczyn? Czy o zabicie ojca? Czy po prostu uważa pan, że jestem popapwany?
- Zaraz, zaraz – przerwał mi Heifort. – O nic pana nie oskarżyłem, panie Roth. Niech pan opanuje ten nastoletni gniew, bo przecież nikt pana o nic nie oskarża.

Nie miałem wyrzutów sumienia, że okłamałem go wcześniej, skoro on zamierzał okłamywać mnie teraz. Oskarżał mnie jak cholera.

- Co pan chce, żebym powiedział? – Popchnąłem zdjęcia Olivii w jego stronę. – To straszne. Ale nie mam z tym nic wspólnego.

Heifort zostawił zdjęcia tam, gdzie były. Obrócił się na swoim krześle, żeby spojrzeć znacząco na Koeniga, ale wyraz twarzy tamtego się nie zmienił. Potem odwrócił się z powrotem do mnie. Jego krzesło jęczało i skrzypiało. Potarł ręką jedno podpuchnięte oko.

- Chcę wiedzieć, gdzie są Geoffrey Beck oraz Grace Brisbane, Samuelu. Pracuję wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. A wiesz, co jest wspólnym mianownikiem łączącym wszystkie te sprawy? Ty.

Nic nie powiedziałem. Nie byłem żadnym wspólnym mianownikiem.

- Więc będziesz współpracować i powiesz mi coś na temat tego wszystkiego czy zamierzasz zmusić mnie, żebym przestał być miły? – zapytał brzuchacz.
- Nie mam panu nic do powiedzenia – uciąłem.

Heifort przyglądał mi się długo, jakby czekał, aż moja mina coś mu zdradzi. – Myślę, że twój tatuś nie oddał ci przysługi, szkoląc cie w tych prawniczych gadkach – odezwał się w końcu. – Nie powiesz nic więcej?

Miałem mnóstwo rzeczy do powiedzenia, ale nie jemu. Gdyby to Koenig mnie przesłuchiwał, powiedziałbym mu, że nie chciałem, żeby Grace zaginęła. Że pragnąłem, żeby Beck wrócił. Że Beck nie był moim przybranym ojcem, tylko po prostu ojcem. Że nie wiedziałem, co się dzieje z Olivią. Że chcę, żeby zostawili mnie w spokoju. To wszystko. Żeby mnie po prostu zostawili w spokoju, tak bym mógł to jakoś przetrwać.

- Nie – powtórzyłem.

Heifort tylko patrzył na mnie, marszcząc brwi. Nie potrafiłem stwierdzić, czy mi uwierzył, czy nie. Po chwili stwierdził:

- No to na razie chyba byłoby na tyle. William, zajmij się nim, dobrze?

Koenig skinął głową, podczas gdy Heifort odepchnął się od stołu. Kiedy zniknął w korytarzu, zaczęło mi się łatwiej oddychać.

- Odwiozę cię do księgarni – zwrócił się do mnie Koenig, oszczędnym gestem każąc mi wstać.

Zrobiłem to, z jakiegoś powodu zaskoczony, że stoję twardo na ziemi, mimo że nogi miałem jak z galarety.

Szedłem korytarzem za funkcjonariuszem, ale ten zatrzymał się nagle, gdy zadzwoniła mu komórka. Wyciągnął ją z etui przy paski i spojrzął na wyświetlacz.

- Poczekaj – poprosił mnie – muszę odebrać. William Koenig, słucham. Tak, proszę pana. Zaraz. Co dokładnie się wydarzyło?

Włożyłem ręce do kieszeni. W głowie czułem pustkę: oszołomiony od przesłuchania, braku jedzenia, widoku martwej Olivii. Słyszałem donośny głos Heiforta dochodzący przez otwarte drzwi do dyspozytorni. Pracownicy śmiali się z czegoś, co opowiadał. Wydało mi się dziwne, że potrafił tak po prostu się przełączyć – najpierw unosił się srogim gniewem nad śmiercią młodej dziewczyny, a zaraz potem sypał kawałami.

Koenig próbował przekonać kogoś przez telefon, że jeśli żona pozostająca z rozmówcą w separacji wzięta jego samochód, to nie była to kradzież, bo auto wciąż stanowi wspólna własność.

- Hej, Tom – usłyszałem.

W całym Mercy Falls było prawdopodobnie mnóstwo Tomów, ale ja od razu wiedziałem, o którego chodzi. Przeszły mnie ciarki.

Pokój dyspozytorów miał okna wychodzące na korytarz prostopadły do tego, w którym stałem. Zobaczyłem przez nie Toma Culpepera. Idąc, pobrzękiwał kluczykami leżącymi w kieszeni kurtki – jednej z tych w tak zwanym wiejskim stylu, opisywanych jako surowe, klasyczne i kosztujące czterysta dolarów. Nosili je zazwyczaj ludzie, którzy spędzali więcej czasu w land roverach niż w obejściu gospodarstwa. Jego twarz miała szary odcień, tak jakby nie sypiał za dobrze, ale głos wciąż miał gładki i opanowany. To był głos prawnika.

Zastanawiałem się, co jest gorsze: ryzyko spotkania z Culpeperem, czy ponowne stawienie czoła smrodowi wymiocin królującemu w kuchni. Rozważałem odwrót.

- Tom, cześć! – zawołał Heifort. – Poczekaj, wpuszczę cię. – Wypadł z dyspozytorni, do miejsca, gdzie czekał Culpeper, i otworzył mu drzwi. Poklepał mężczyznę po ramieniu. Nie zdziwiło mnie to, że się znali. – Przyszedłeś popracować czy tylko szukasz kłopotów?
- Tylko wpadłem dowiedzieć się o ten raport koronera – uśmiechnął się Culpeper. – Co powiedział dzieciak Geoffreya Becka?

Heifort odchylił się odrobinę, żeby Tom dojrzał mnie stojącego w korytarzu.

- O wilku mowa – skomentował Culpeper.

Byłoby uprzejmie się przywitać. Nie odezwałem się.

- Hej, jak się miewa twój stary? – zagadnął mnie mężczyzna z ewidentną ironią. Było jasne, że go to nie obchodzi. Nie był też tego rodzaju osobą, która normalnie użyłaby określenia „twój stary”. – Jestem zaskoczony, że nie ma go tu z tobą – dodał.
- Byłby, gdyby mógł – odpowiedziałem sztywno.
- A mówiąc o poradach prawnych, to rozmawiałem ostatnio z Lewisem Brisbane’em – zmienił temat wyraźnie zadowolony z siebie Culpeper. – Brisbane’owie wiedzą, że w razie potrzeby mogą na mnie liczyć.

Nawet nie chciałem myśleć o tym, jakie komplikacje wyniknęłyby z tego, że Tom Culpeper wystąpiłby w roli prawnika i powiernika rodziców Grace. W każdym razie wizja serdecznej relacji między mną a nimi w przyszłości wydawała się niewiarygodnie odległa. Właściwie to wizja jakiegokolwiek mojej szczęśliwej przyszłości wydawała się w tej chwili niewiarygodnie odległa.

- Ty naprawdę jesteś kompletnie porąbany, prawda? – skwitował Culpeper z zadumą, a ja zdałem sobie sprawę, że milczę już zbyt długo, nieświadomy tego, co działo się z wyrazem mojej twarzy, kiedy zagubiłem się w niepokojących myślach. Potrząsnął głową, nie tyle z okrucieństwem, co ze zdziwieniem wywołanym osobliwością mojego oderwania od rzeczywistości. – Dam ci mądrą radę: zdecyduj się na linię obrony oparta o orzeczenie o niepoczytalności. Niech Bóg błogosławi Amerykę. Beck zawsze lubił tę sztuczkę.

Heifort, trzeba mu to przyznać, próbował powstrzymać uśmiech.

Koenig zatrzęsął klapkę telefonu i zmrużył oczy.

- Panowie – oświadczył – zabieram pana Rotha z powrotem do pracy, chyba że jest jeszcze do czegoś potrzebny.

Heifort pokręcił głową, powoli i dostojnie.

Culpeper odwrócił się do mnie z rękami w kieszeniach. W jego głosie nie było gniewu. I nie musiało go tam być – w końcu to on rozdawał karty.

- Kiedy następnym razem zobaczysz ojca, możesz mu powiedzieć, że za czternaście dni wszystkie jego wilki będą już martwe. To powinno zostać załatwione już dawno temu. Nie mam pojęcia, w co się bawiliście, ale to koniec.

Tom Culpeper patrzył za mną, ale w jego oczach nie było pragnienia zemsty. To była po prostu świeża rana, otwierana zbyt często, by mogła się kiedykolwiek zagoić. Jak mogłem go osądzać? Przecież nie znał prawdy. Nie mógł jej znać. Sądził, że to tylko zwierzęta, a my jesteśmy bezmyślnymi sąsiadami o niewłaściwych priorytetach.

Ale zrozumiałem również jedno. Jego nienawiść do wilków się nie skończy, dopóki sfora nie będzie martwa.

Koenig złapał mnie za łokieć i spojrzał przez ramię na Toma.

- Myślę, że myli pan syna z ojcem, panie Culpeper.
- Może – zgodził się mężczyzna. – Jednak wie pan co mówią o jabłkach i jabłoniach.

Problem z tym przysłowiem polegał na tym, że było bliskie prawdy.

- Pora na nas – uciął Koenig.